

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Janina Wieczerska

**Legenda o Łazarzu
Pokutniku**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Osoby:

Łazarz Pokutnik, wiek i zawód nieokreślone, z wyglądu – inteligent około pięćdziesiątki,

Andrzej Zabrzęski, lat 66, inż. agrotechnik

Kuzynka Ala, postać epizodyczna

Grzelak, kościelny – postać epizodyczna

Rzecz dzieje się na cmentarzu w wieczór Wszystkich Świętych w r. 1999

Akt I

1.

(Śpiew najpierw wyciszony, potem skrzypnięcie ciężkich drzwi, na krótko słyhać głośniejsze „Dobry Jezu a nasz Panie”, stuknięcie zamykanych drzwi, śpiew znowu przyciszony...)

Zabrzewski: Alu, ja tylko wymienię na grobach wypalone znicze i zaraz jadę. Jeśli mi chwilę potowarzyszysz, to bym cię podrzucił do domu.

Ala: Nie, dziękuję. Skoro nie chcesz zostać na kolacji, to pójde jeszcze stąd do cioci-babci Urszulki. Przecież ona MUSI wiedzieć, kto przyjechał, kto nie. Zbyt krucha, żeby chodzić na cmentarz, ale umarłaby, jakby jeszcze dziś jej nie opowiedzieć.

Zabrzewski: To zejdźmy do wozu, odwiozę cię do niej i wrócę.

Ala: Coś ty, to żabi skok, nie warto.

Zabrzewski: Jednak... Już ciemno, musisz iść przez zapłocie, nie oświetlone...

Ala: Daj spokój, nasze zapłocie to nie wasz Trójkąt Bermudzki. Chyba, żebyś zajrzał do ciotki.

Zabrzewski: Złożyłem uszanowanie przedpołudniem, a chcę być na dziesiątą w domu.

Ala: To tym bardziej muszę iść sama. Ciotka usłyszy auto, i zaraz: a kto cię przywiózł, a czemu nie wszedł... Jeszcze się obrazi, wiesz, jakie są ciotki.

Zabrzewski: Trochę zapomniałem. No cóż, moja miła, dziękuję za gościnę i do zobaczenia w przyszłym roku. Jak Bóg pozwoli.

Ala: Czemu by nie miał pozwolić? Wuj to zawsze... Trzymaj się, wujku, i jedź ostrożnie...

(Przeraźliwy skowyt psa, pisk hamulców, potem szum ruszającego auta)

Ala: Co się tam stało?! Czeka, ktoś idzie od bramy, dowiemy się.

2.

Ala: Proszę pana, chyba psa ktoś przejechał?

Łazarz: Tak, ostro ruszył, no i po psie.

Ala: Ale bo też kto przychodzi z psem na cmentarz... Wujku, to jeszcze raz: do widzenia i szczęśliwej drogi!

Zabrzeski: Do widzenia, dziecko i niech ci się dobrze wiedzie.

(odgłos kroków – lekkich, oddalających się, cięższych – zbliżających).

3.

Zabrzeski: Wie pan, ja tego psa przedtem widziałem. Prawie szczeniak, kręcił się między autami już przed południem, podczas procesji chyba też...

Łazarz: To pewnie rankiem ktoś przejezdny go zostawił. Położył wiązanekę na grobie, świeczkę zapalił i szurr – uciekł psu.

Zabrzeski: Tak się niestety robi. Ten i tak był przyzwoity, bo dał psu szansę, że go ktoś przygarnie. Mógł go wyrzucić w lesie.

Łazarz: Wyrozumiały z pana człowiek!

Zabrzeski: A co mi zostaje w moim wieku? Jakby pan miał tyle lat co ja, też by pan był wyrozumiały.

Łazarz: Skąd pan wie, że nie jestem? I ile mam lat?

Zabrzeski: Istotnie, nie wiem. Nigdy pana tu nie spotkałem.

Łazarz: Nie mógł pan. Zatrzymałem się po drodze. Jestem fotografikiem, zafascynowały mnie cmentarne światła i chcę zrobić cały cykl zdjęć.

Zabrzeski: A warto! Wie pan, to jest coś niesamowitego. I to właściwie całkiem nowe zjawisko, to – bo ja wiem – od jakichś dwudziestu lat... Na Wszystkich Świętych łuna bije z każdego cmentarza, ale i w inne święta zapala się znicze – na Boże Narodzenie np. prawie tak jak dziś... Nowa forma kultu. (brzęk upadających szkieł). Niech to! Ucho się urwało. Jak ja się teraz z tym pozbieram...

Łazarz: Pomogę panu. Wezmę dwa duże znicze, reszta się zmieści i przy urwanym uchu.

(dalej przy odgłosie zbieranych zniczy)

Zabrzeski: Cud, że się nic nie zbiło...

Łazarz: Pan też, widzę, uległ „nowej formie kultu”. Te znicze będą się palić do pojutra.

Zabrzeski: O to właśnie chodzi!

Łazarz: Ale dlaczego? Zastanawiał się pan nad tym?

Zabrzeski: Ha, i to wiele razy. I nie wiem, co o tym myśleć. Czy to jest jakiś neopoganizm, nawrót do kultu przodków, czy odwrotnie, wzrost wiary w nieśmiertelność duszy?

Łazarz: Pan wierzy w nieśmiertelność duszy?

Zabrzski: A jakżeż? Jestem katolikiem. „Świętych obcowanie, grzechów odpuszczenie, żywot wieczny”...

Łazarz: Amen. Przepraszam pana, ale ja pytałem poważnie.

Zabrzski: Dobrze, że pan przeprasza, bo niby dlaczego miałbym odpowiadać poważnie obcemu?

Łazarz: Bo obcy.

Zabrzski: To jest pewna racja. Czasem człowiek obcemu więcej powie niż swojemu. W pociągu, na przykład...

Łazarz: No, widzi pan... Przecież możemy porozmawiać szczerze a niezobowiązująco, a pan mnie zbywa formułką.

Zabrzski: No, no, to nie formułka! To z Credo.

Łazarz: Przecież wiem. Ale pan to odbębnił, w dodatku niepoprawnie.

Zabrzski: Jak, co niepoprawnie?

Łazarz: Opuścił pan „ciała zmartwychwstanie”.

Zabrzski: E tam. Zresztą, jeśli już mówić szczerze, na co by nam było to biedne ciało w zaświatach?

Łazarz: Więc nie przypadkowo pan te dwa słowa opuścił. Freudowska pomyłka, klasyczna. Nie lubi pan ciała? Przecież to też stworzenie boskie.

Zabrzski: Lubię, póki silne i sprawne. Ale jak zaczyna skrzypieć i boleć... To tu, proszę położyć znicze, ja już je sobie poustawiam...

4.

Łazarz: Piękny grobowiec. I stary.

Zabrzski: Bo i rodzina stara. Ale renowację grobowca spaprali. Nie dopilnowali kamieniarza, potłukł stare tablice, a potem lament – ojej, jak była z domu prababka i skąd teraz wziąć daty. Zdumiewające, takie małe miasta niby są konserwatywne, a wcale nie dbają o przeszłość...

Łazarz: Ale o groby dbają, nie zaprzeczy pan. Nawet na takim samotnym, opuszczonym – o, jak tamten – ktoś dziś chwasty wyrwał, świeczkę zapalił. Wracam do kwestii – dlaczego?

Zabrzeski: Myślę, że to jakieś poczucie solidarności. Żeby zmarłemu nie było przykro, że samotny.

Łazarz: A nie, żeby się nie obraził, nie mścił?

Zabrzeski: Taka motywacja to byłby właśnie neopoganizm. Ugłaskać, przekupić zmarłego przodka, żeby przypadkiem nie robił brzydkich szpasów. Ja nawet nie wykluczam, że tu niejedna świeczka się pali, żeby ciotka albo dziadek się nie pogniewali. Ale ogólnie to chyba nie tak... Mógłby pan mi podać tamtą wypaloną lampkę? Dziękuję. Założę się, że postawił ją ktoś z potrzeby serca, z przywiązania do stryja, a nie ze strachu przed nim. – O, i jeszcze tamtą. – Ktoś, kto nie miał obowiązku.

Łazarz: Czy pan aby nie idealizuje bliźnich? Bez przesady można powiedzieć, że tu w tej chwili idą z dymem – albo wędną w wiązankach – ciężkie, ale to ciężkie tysiące. I to wszystko z potrzeby serca? Nie na pokaz, żeby ludzie zobaczyli, na co potomków pana – zaraz, kto tam obok pochowany? – pana Majcherka stać?

Zabrzeski: Faktycznie, Majcherkowie urządzili iluminację, niczym w Westminsterze w czasie koronacji. Ale, widzi pan, to też nie jest taka sobie prostacka ostentacja. Ja znałam starego Majcherka, on lubił się popisać. Więc potomkowie, po pierwsze, są uwarunkowani genetycznie, po drugie i ważniejsze – stroją grób wedle upodobań dziadka. To dowód wdzięczności, dziadek zrobił dużo dobrego dla rodziny.

Łazarz: A jakby nie zrobił?

Zabrzeski: To by się pewnie nie wysilali. No, to tu już wszystko, przejdziemy teraz na mój grób.

Łazarz: Jak to – na pana grób? Przecież pan żyje.

Zabrzeski (*ze śmiechem*): No, tak trochę niezupełnie, trzy ćwierci do śmierci, jak tu się mówi. (*Poważniej*) Przejęczyłem się. Grób moich rodziców, rodzeństwa, dziadków ze strony matki jest z tamtej strony kościółka. Nazwałem go moim tak dla skrót. Zresztą we właściwym czasie faktycznie będzie moim.

Łazarz: Więc dba pan o niego zawczasu?

Zabrzeski: Niech pan nie będzie złośliwy.

Łazarz: Przepraszam, głupio mi się powiedziało.

Zabrzeski: Drobiazg. To ja właściwie powinienem przeprosić, że pana z sobą ciągam. Takeśmy się zagadali, a pan ma tu swoje sprawy.

Łazarz: Mam, ale z panem mi rażniej. Rozglądam się przy okazji za obiektem. Nie orientuje się pan, czy jest tu gdzieś całkiem świeży grób?

Zabrzeski: Nie zauważyłem. We Wszystkich Świętych nie ma pogrzebów.

Łazarz: Nie musi być dzisiejszy, wystarczy sprzed paru dni. – Co tak pan na mnie spojrział jak na strzygę?

Zabrzski: Skądże, gdzie tam. Tylko to tak jakoś dziwnie zabrzmiało.

Łazarz: Pytałem, bo miałbym dobry kontrast: lawina czułości przy grobie i chwasty zapomnienia później.

Zabrzski: Chyba mizantrop z pana. Przypisał mi pan, jakby to nazwać, próżność zaświatową, a ja przecież dbam o grób ze względu na nich. Nawet to, że przewiduję tam miejsce dla siebie, to też dla nich. Myśmy się, proszę pana, rozproszyli po świecie, tu została tylko linia boczna, po kądzieli. Więc już dawno uradziliśmy z siostrą, że tu sobie spoczniemy. Jako, by tak rzec, magnes. Do pradziadków, ciotecznych wujków nasze dzieci by nie przyjeżdżały, a do nas będą. I swoje dzieci przyuczą.

Łazarz: Pomysłowe, nie powiem. Przedłuży pan pamięć rodzinną jeszcze o jedno pokolenie.

Zabrzski: Może nawet o dwa? Za jakiś czas będą przyjeżdżać z wnukami, może i wnuki się przyzwyczają.

Łazarz: Ciągłe się zastanawiam, dlaczego panu tak na tym zależy?

Zabrzski (*gniewnie*): Bo ich kochałem. Wszystkich. Na litość boską, czy to takie trudne do pojęcia?!

(milczenie, wiatr, szelest liści pod butami)

Akt II

5.

Zabrzieski: Skoro pan tak łaskaw, że mi towarzyszy...

Łazarz: Pomyślał pan: skoro facet się nie chce odczepić...

Zabrzieski: Pan to powiedział, zresztą mi pan nie przeszkadza. A mógłby pomóc – gdyby pan pozapalał znicze, a ja tymczasem poporządkuję trochę ten chaos. Z jednej strony, to cieszy, że jacyś ludzie, nie krewni, też położą tu to kwiatek, to znicz. Ale z drugiej strony – płyta wygląda potem jak niesprzątnięty stół po kolacji.

(szuranie, brzęk itp. odgłosy porządkowania)

Zabrzieski: Proszę mi podać ten duży. O, i najlepiej niech pan wyjmie wszystkie od razu i da mi reklamówkę. Powrzucam to, co do jutra może być śmieciem. Babcia tak zawsze robiła. Specjalnie przychodziła wieczorem.

Łazarz: Nie bała się?

Zabrzieski: Może się i trochę bała, ale ważniejsze było, żeby Edzinek miał ładnie. To był jej najstarszy syn, zmarł młodo i babcia długo nie mogła się pogodzić z wyrokiem boskim. Dopiero po wojnie, jak UB wzięło jej drugiego syna, za AK. Płakała, że na pewno go biją, i mówiła: Dobrze, że choć Edzinka ominęło to, co cierpi Kaziczek.

Łazarz: A bili?

Zabrzieski: Co, pan nie wie? Wrócił w 56, ze złamanym nosem. I życiorysem też. Doprawdy, wujka Edka ominęło wiele cierpienia. To babci nic nie zostało oszczędzone. Od początku wojny – czarna seria. Zmarła jedyna córka – nasza matka, zaraz potem wnuk. Babcia wtedy mówiła, że mama zabrała go do siebie. Prawie w to wierzę, bo jakie by go czekało życie, sierotę, za komuny? Oleńce i mnie było dosyć ciężko, a przecież byliśmy dużo starsi. Ale to było takie wdzięczne, kochane dziecko... Potem Kazik, harcerz-konspirator, musiał uciec do GG, przez dłuższy czas nie było wiadomo, co z nim. Tak zresztą jak z naszym ojcem – nie wiedzieliśmy, że dotarł do Andersa. Został potem w Anglii i miał rację. W 46, jak aresztowali Kazika, dziadek dostał ataku serca. Została wdową, ale nawet wtedy nie traciła ufności, że jeszcze wszystko się na dobre obróci. W ogóle ufności w ład moralny: Hitler przegra, bo przecież TAK być nie może. Komuna padnie – bo przecież TAK być nie może. Jeszcze się wszyscy spotkamy – bo przecież TAK być nie może. To był człowiek wielkiej wiary i wielkiego serca... Moja matka też taka była, nasze życie byłoby inne, gdyby przeżyła wojnę...

Łazarz: A czy pan się zastanawiał, jakie byłoby JEJ życie?

Zabrzski: Początkowo nie. Początkowo wiele razy, rozpaczliwie chciałem, żeby była przy mnie. Można powiedzieć: pięściami biłem we wrota świętego Piotra i krzychałem. Ale też i od samego początku miałem świadomość, że wyrok boski jest nieodwracalny. A jeszcze później, już jako całkiem dojrzały człowiek, pojąłem, że choćby był odwracalny, to i tak nic z tego.

Łazarz: Co znaczy: nic z tego? W jakim sensie?

Zabrzski: Zaraz pan pojmie. Nie tak dawno miałem osobliwy sen. Przyszedłem tu, z kwiatami, a z ławeczki – tej, tej, na której pan teraz przysiadł – wstała moja matka. Ubrana była w letnią, beżową sukienkę, tę, którą miała na sobie, kiedy Francja skapitulowała, to zapamiętałem. Więc wstała i mówi: „Andrzejku, wreszcie jesteś! Naczekałam się na ciebie. Zostaw te kwiaty, chodźmy zaraz do domu”. – „Ja już tu nie mieszkam, przeniosłem się do Wrocławia”. – „A Oleńka?” – „Oleńka mieszka w Gdańsku”. – „W Gdańsku! A ty we Wrocławiu! To już wygraliśmy wojnę!” Mama zawołała to z taką radością, tak się rozpromieniła, że mi się serce ścisnęło. Jak ja mam jej powiedzieć, że wcale nie wygraliśmy, że jedni poszli, drudzy weszli, że naszego domu nie ma i w ogóle nikogo, nikogo, wszyscy już zmarli. Objąłem ją – była taka ciepła, kochana jak dawniej – i rozpląkałem się jak dziecko. I z tym płaczem się obudziłem. Do rana potem nie mogłem zasnąć, wciąż dręczyły mnie myśli, co ja bym jej musiał opowiedzieć o tych pięćdziesięciu latach bez niej. I troska, i zgryzota – czysto teoretyczna oczywiście, ale uporczywa i dojmująca, jak to bywa o trzeciej nad ranem – jak ona by się czuła, jakby ją tu umieścić w tych naszych czasach. Które w dodatku już właściwie i naszymi nie są...

Łazarz: Tu już bym się z panem nie zgadzał. Póki żyjemy, każde czasy są naszymi, z definicji. Choć raz trafiają się lata, które nam nie pasują, raz takie, co pasują... Pańska matka trafiłaby bardzo dobrze – nie tylko byłoby już po wojnie, ale i po komunie...

Zabrzski: Ale nic by nie było jak przed wojną, w jej czasach. Proszę pana, albo pan udaje, że nie wie, o co chodzi, i tylko mnie podpuszcza, albo ma pan za mało wyobraźni. Pewnie i doświadczenia za mało. Pan jest młodszy ode mnie, żył cały czas tylko w jednej epoce...

Łazarz (*śmieje się*): Jak to pozory mylą! Jestem dużo starszy, tylko z łaski boskiej dobrze się trzymam.

Zabrzski: Jeśli tak, to pierwsze przypuszczenie jest słuszne –

Łazarz: Że pana podpuszczam? Po co bym miał...

Zabrzski: A, tego to ja właśnie wie wiem. Nie powiem, że mnie pan naciąga na zwierzenia, bo sam mam ochotę gadać. Ale rozmawiamy już chyba dobre 20 minut, pan przecież miał robić zdjęcia, a nawet aparatu nie wyjął.

Łazarz: U licha, rzeczywiście, zostawiłem w aucie. Nie szkodzi, jeszcze zdążę. Ale – pan za to chciał być na dziesiątą we Wrocławiu...

Zabrzieski: Jeszcze zdążę. Podejdźmy do bramy, pan weźmie aparat z wozu, a ja wyrzucę reklamówkę do pojemnika.

(Kroki)

6.

(Głuche trzaśnięcie zamykanych drzwi, brzęk kluczy)

Zabrzieski: Pochwalony, panie Grzelak. Co to, fajrant?

Grzelak: A, to pan dyrektor! Pochwalony. Ano, fajrant. Powiedziałem babinkom, że już się dosyć naśpiewały, jutro też są wypominki, otworzę im z rana. Ale że też pan jeszcze tutaj, o tej porze?

Zabrzieski: Zaraz jadę, tylko ostatnią zdrowaśkę zmówię. co tam u pana?

Grzelak: Stara bieda, tak się pcha. Ale aut to się dzisiaj nazjeżdżało! Jeszcze więcej niż w zeszłym roku. Bogacą się ludzie! Tylko sumienia im nie przybywa.

Zabrzieski: Czemu pan tak myśli?

Grzelak: A choćby i przed półgodziną. Gość przejechał psa, i nic, nawet nie wyszedł z wozu. Musiałem za hycła robić, odciągnąć biednego kundla na pobocze. Jutro, za dnia, gdzieś zakopię. A u pana jak? Wszyscy zdrowi? Dzieci, wnuki?

Zabrzieski: Odpukać, zdrowi.

Grzelak: Zdrowie najważniejsze. Dobrej drogi życzę.

Zabrzieski: Proszę pozdrowić żonę.

Grzelak: Ucieszy się, że pan dyrektor pamiętał! Do widzenia. Cholerne drzwi, znowu się opuściły.

(szarpanina z drzwiami i kluczami)

7.

Łazarz: Usłyszałem, że kościelny tytułuje pana dyrektorem. Sławny pan tutaj!

Zabrzieski: E, to tak przez grzeczność i przyzwyczajenia. Dziadek był dyrektorem, ojciec do wojny też, więc myślą, że każdy Zabrzieski musi.

Łazarz: Gdzie byli dyrektorami, jeśli wolno spytać?

Zabrzieski: U siebie, tutaj. Jakby było jasno, to by pan nawet zobaczył zakłady. Fabryka konserw owocowych i warzywnych. Nie żadne tam Pudliszki, ale ambitna. (*ze śmiechem*) Szablak, tzn. fasolkę szparagową, mieliśmy lepszą od Pudliszek. A i z kalafiorami byliśmy na najlepszej drodze (*znowu się śmieje*).

Łazarz: A teraz?

Zabrzieski: Suszarnia zboża. Punkt usługowy. Plajta i ruina. Jedna wielka poruta!

Łazarz: Ależ to pana porusza!

Zabrzieski: A pewnie! Dobrze, że ojciec tego nie widział. Już mówiłem, wiedział co robi, kiedy zostawał w Anglii. Tam miał przynajmniej wokół siebie towarzyszy broń...

Łazarz: Rzuciłem okiem na nazwiska i daty na grobie i myślałem, że jest tu pochowany...

Zabrzieski: Bo jest. Sprowadziliśmy urnę z prochami. – Jeśli pan chce zrobić widok ogólny, to panu pokażę takie miejsce, skąd najlepiej... Tylko musiałyby się pan wdrapać na grobowiec Chodorowiczów...

Łazarz: Jeśli pan pozwoli, sfotografuję najpierw wasz...

Zabrzieski: Proszę, jak pan chce.

(*kroki*)

8.

Łazarz: Gdyby pan przesunął troszeczkę te chryzantemy. Zaciemniają napis. Pański ojciec to Michał, dobrze się domyśliłem?

Zabrzieski: Dobrze.

(*pstrykanie*)

Łazarz: Proszę pana, załóżmy niemożliwe. Gdyby pański ojciec teraz wrócił, to mógłby przecież odzyskać te wasze mini-Pudliszki.

Zabrzieski: A gdzie tam! Już się nimi podzielili burmistrz z państwowym paserem. Jeden potem sprzedał na działki kumotrom, a drugi jakiemuś szmondakowi z Ameryki. Ojca by na takie coś szlag trafił. Czym prędzej powędrowałby znowu w te swoje nieobeszłe dale.

Łazarz: Tak pan sobie wyobraża zaświaty? Jako nieobeszłe dale?

Zabrzieski: Różnie. Już pan wie, że wcześniej się spotkałem ze śmiercią, musiałem się zastanawiać, jakoś sobie wyobrazić to „świętych obcowanie”...

Łazarz: Bo w świętych obcowanie pan wierzy?

Zabrzski: Tak. Im dłużej żyję, tym bardziej. Dokładnie: im więcej mam bliskich po tamtej stronie. Im moja wyspa mniejsza, tym tamte realniejsze.

Łazarz: No więc jak: nieobeszłe dale czy wyspy szczęśliwe?

Zabrzski: Dlaczego nie jedno i drugie? Wieczność jest wielka, wszystko się w niej zmieści. Mój ojciec jeszcze był młody, kiedy zostawił tę tutejszą rodzinną wyspę i wybrał nową, kombatancką. Widać więzy z lat żołnierskich były silniejsze niż z lat „dyrektorskich”. Można więc sobie wyobrazić...

Łazarz: Nie wszystko...

Zabrzski: Ale prawie. Więc i to, że w zaświatach szuka miejsca, gdzie stoczyłby zwycięskie bitwy, wygrał wojnę.

Łazarz: Albo wyprodukował kalafiory lepsze niż z Pudliszek.

Zabrzski (*śmieje się*): Czemu by nie? Choć to by raczej pasowało do dziadka. Za to babcia, a i matka tworzyłyby z zapalem właśnie te wyspy szczęśliwe, gdzie wszystko byłoby tak jak na ziemi, tylko lepsze. Już widzę babcie na progu, jak mówi „chodźcie, dzieci, chodźcie, czekam, już wszystko gotowe”.

Łazarz: Ale nie doczekałaby się tych, co wybrali nieobeszłe dale.

Zabrzski: Dlaczego? Przecież w zaświatach, gdzie nie ma ciała i czasu, można równocześnie być w wielu miejscach...

Łazarz: No, no, sprytnie pan to wykombinował.

Zabrzski: Nie sprytnie, tylko logicznie. Toć i tu na ziemi, bywamy duchem i tu i tam naraz. Ja np. w tej chwili rozmawiam z panem, ale równocześnie z żoną. Tłumaczę jej, że im później, tym bardziej pusto na drogach, więc bezpieczniej.

Łazarz: Tylko czy ona słyszy?

Zabrzski: A, to już zupełnie inna sprawa. Też mam całą teorię, zresztą nie bez związku z cmentarną iluminacją. – Chodźmy już do grobowca Chodorowiczów, bo się rozgadam bez końca i weźmie mnie pan za wariata.

Łazarz: Nie wezmę, zapewniam. A skoro pan się niepokoi, że żona się niepokoi, to już dajmy sobie spokój z tamtym grobowcem i z ujęciem ogólnym. Przysłać panu odbitki tego, co napstrykałem?

Zabrzski: Bez urazy, ale...

Łazarz: Ale pan mi nie chce dać adresu. Przepraszam. O panu wiem prawie wszystko, a sam się nie przedstawiłem. Łazarz Pokutnik.

Akt III

Zabrzski: Osobliwe!

Łazarz: Dlaczego? Znam osobliwsze nazwiska.

Zabrzski: Ja też. Więc mi nie o nazwisko. Imię! Jak żyję, nie spotkałem nikogo, kogo by tak ochrzczono.

Łazarz: No tak, źle się kojarzy.

Zabrzski: By rzec prawdę, istotnie. W Ewangelii jest dwóch Łazarzy, jeden żebrak z przypowieści, kto chce żebraka za patrona? A drugi...

Łazarz: „Już cuchnie” – powiedziała Marta. O to panu chodzi?

Zabrzski. Ten naturalistyczny szczegół jakoś bardziej się trzyma pamięci niż wskrzeszenie.

Łazarz: Małość ludzka. Wielbili wskrzesiciela, a brzydzili się wskrzeszonym. I to zresztą nieprawda, że cuchnął. Jan to dodał dla efektu. Jan w ogóle sporo poprzekręcał, on już taki był.

Zabrzski: Jak pan może tak bez szacunku o Ewangeliście!

Łazarz: Żeby pan poczytał, co bibliści o nim wypisują, to by się pan nie gorszył.

Zabrzski: Cóż, uczeni w piśmie już w ewangeliach nie mieli dobrej prasy. Więc co pana zdaniem Jan poprzekręcał?

Łazarz: Przede wszystkim rzecz najistotniejsza. Słowa Marty „tyś jest zmartwychwstanie i żywot”, wie pan, to gorące wyznanie wiary. Marta to naprawdę powiedziała, ale PO wskrzeszeniu brata. Nie PRZED. Dlatego Jezus zapłakał: że ci najbliżsi mu ludzie, przed którymi odkrył serce i prawdę, pozostali ślepi i głusi. Marta wierzyła, że Jezus czyni cuda, ale w Jego naukę nie. W każdym razie nie w żywot wieczny.

Zabrzski: Ja odwrotnie. Bardziej wierzę w żywot wieczny niż w cuda.

Łazarz: To we wskrzeszenie Łazarza pan nie wierzy?

Zabrzski: Muszę, przecież jestem katolikiem. Nawet mnie ciekawi, co się z nim potem stało.

Łazarz: Ukrywał się. Jan pisze na koniec: „Żydzi chcieli go zabić”. Ale wnet mieli dość zamieszania w Jerozolimie. Łazarz odczekał w górach, a potem wrócił do Betanii i pozostał tam do śmierci siostry.

Zabrzeski: Której?

Łazarz: Marty oczywiście. Maria poszła za Mistrzem do Jerozolimy i słuch o niej zaginął.

Zabrzeski: W ogóle o iluż to słuch zaginął... A przecież chciałoby się wiedzieć...

Łazarz: Jeśli pan naprawdę chce wiedzieć... Ale jesteśmy chyba całkiem sami na cmentarzu, nikogo nie zgorszymy, jak siądziemy i zapalimy...

Zabrzeski: Najwyższy czas, już zaczynałem popadać w nerwowość.

(trzask zapalniczek, westchnienie ulgi palacza po długim niepaleniu)

Łazarz: Więc Łazarz, jak mówiłem, schował się w górach. Marta, jak zwykle praktyczna, znalazła sposób, by przesyłać mu jedzenie i wiadomości. Łazarz dowiedział się tedy o Męce i Zmartwychwstaniu. I popadł w rozpacz: uświadomił sobie, jakim był nędznym, podłym niewdzięcznikiem. Przecież Mistrz go wybrał, powołał na koronnego świadka, a on uciekł jak ostatni tchórz. Był gorszy od Piotra i Tomasa, bo Piotr się zaparł w chwili słabości, a niewierny Tomasz, gdy ujrzał, powiedział: „Pan mój i Bóg mój”. Łazarz zaś doświadczył na sobie łaski, był żywym dowodem zwycięstwa nad śmiercią i co? Pozostał nieczuły jak byle poganiacz osłów albo faryzeusz. To przecież on powinien stać pod krzyżem obok Jana i Matki, on powinien biec do Grobu z Piotrem... We wstydzie i rozpaczycy zaczął bić głową w skały tej swojej jaskini, był bliski samobójstwa. I wtedy przyszedł do niego Zmartwychwstały. „Nie dodawaj do grzechu niewdzięczności jeszcze grzechu rozpaczycy” – powiedział. Panie, wyznacz mi pokutę, żebym, kiedy nadejdzie czas, mógł stanąć czysty przed Tobą – prosił Łazarz. I Pan spełnił jego prośbę. – „Skoro tak drogie było ci ziemskie życie, to daję ci go w obfitości. Idź i głos Prawdę aż do skończenia świata”. Łazarz, który w owej chwili nie pragnął niczego, jak tylko być przy Mistrzu, wykrzyknął: „Odrącasz mnie na dziesiątki wieków!” Wtedy Jezus uśmiechnął się i złagodził wyrok. Raz na sto lat Łazarz miałby szansę wyzwolenia. Jeśli znajdzie mężczyznę, który go poprosi o wskrzeszenie kogoś, Łazarz będzie miał moc uczynienia cudu. I jeśli go dokona, ujrzy oblicze Pańskie.

Zabrzeski: Ciekawa legenda. I ja już się nawet domyślałem, co było dalej. Łazarz błąkał się po świecie i na schyłku każdego wieku cieszył się, że to już koniec pokuty. ale okazywało się, że nie ma chętnych na cud. Nikt nie chciał powrotu zmarłych. Oglądałem kiedyś podobny moralitet średniowieczny. Farsę właściwie, bardzo zjadliwą. Ale to niemożliwe.

Łazarz: Co niemożliwe? Moc wskrzeszania czy brak chętnych?

Zabrzeski: Na temat mocy się nie wypowiadam. Ale zwyczajnie, po ludzku, nie wyobrażam sobie, żeby nikt nie chciał... Ta farsa, o której wspomniałem, była nie tylko niesmaczna, ale i nieprawdziwa. Ja się zgadzam, że młoda wdowa mogła nie chcieć powrotu męża-starucha, syn-spadkobierca – ojca sknery. Ale Łazarz musiałby tylko znaleźć matkę nad trumną dziecka czy dziecko osierocone przez matkę...

Łazarz: Nieuważnie pan słuchał. Petentem, że tak to nazwę, miał być MEŹCZYŻNA.

Zabrzeski (z *urazą*): Mężczyźni też mają serce!

Łazarz: Zgoda. Ale przyzna pan, że to ogranicza poważnie szanse. A jeszcze trzeba dodać, że Łazarz mógł podjąć próbę wyzwolenia tylko raz na sto lat i to przed adwentem, w tej ciemnej porze, kiedy ludzie się najbardziej boją zmarłych... Sam pan te światła wokół wiązał z pogaństwem.

Zabrzeski: Tylko częściowo. Ja to rozumiem jako sygnał w zaświaty, że pamiętamy i chcemy, żeby o nas pamiętali.

Łazarz: Żeby babcia nie przestała czasem czekać na progu domku z malwami i słonecznikami?

Zabrzeski: Z floksami i ostrózkami.

Łazarz: Więc nie chciałby pan przywołać jej z powrotem na świat. Domyślam się, że rodziców też... Ale widzę tu napis „Aleksandra z Zabrzeskich”... Odeszła dwa lata temu, na świecie przez ten czas niewiele się zmieniło...

Zabrzeski: Dosyć się zmieniło przedtem. Proszę pana, ja sobie nasze życie tak przenośnie wyobrażam jako wyspy w wielkiej rzece czasu. Najpierw są małe, potem się rozrastają, przybywają im jakieś półwyspy, połączenia z innymi. Ale od pewnego momentu czas zaczyna działać przeciw nam, nurt przenosi na drugi brzeg ludzi, widoki, rzeczy, sprawy. Coraz ich więcej tam, coraz mniej tu. Moja siostra została sama na małym skrawku. Wydawało się, że sobie radzi, była aktywna zawodowo, publikowała, miała uczniów, w ogóle była to „niewiasta mężna” jak mówi Pismo. A jednak straciła całą odporność, tak jak swego czasu babcia. Nikt się nie spodziewał, a tu jedno głupie zapalenie płuc...

Łazarz: Ale przecież, przypuszczam, miała dzieci, wnuki. Jak pan.

Zabrzeski: Właśnie. Dzieci się usamodzielniają, mają swoje wyspy. Wie pan, stwierdziłem rzecz przedziwną: kiedy przestajemy być komuś potrzebni, to i on w jakiś sposób przestaje być nam potrzebny.

Łazarz: Rozumiem, że pan mówi z doświadczenia. Ale gdyby tak teraz obok pana stanął najmłodszy braciszek? Jemu byłby pan długo, długo potrzebny... I kocha go pan jeszcze teraz, po tylu latach.

Zabrzeski: A cóż pan mnie tak podpytuje, jakby pan szukał „petenta” dla tego pokutującego Łazarza?

Łazarz: Jak to, to pan się jeszcze nie domyślił?

Zabrzeski: Niby czego?

Łazarz: Że to JA jestem Łazarzem?

Zabrzieski (*po sekundach milczenia*): No nie! Zaraz... Niech zapalę drugiego papierosa. Pan nie może być Łazarzem! Pan, wygląda pan, mówi, jak współczesny inteligent. Nawet Freuda pan wspomniał. Nie, no...

Łazarz: A cóż pan sobie wyobrażał? Że pokutujący Łazarz to będzie starzec z rozwichrzoną brodą? Mistrz był miłosierny, dał mi wszystko co trzeba, żeby przetrwać. Niezniszczalne, zdrowe ciało. Ogromnie pojemną pamięć. I pojętność, dar przystosowania się. Nigdy dłużej niż trzy dni nie uczyłem się nowego języka.

Zabrzieski: Nęcące! Sam chciałbym... Pan jest aktorem ćwiczącym rolę? Trenującym siłę sugestii?

Łazarz: Może pan tak myśleć, jeśli z tym panu wygodniej. Ale to nie zmieni faktu.

Zabrzieski: Jakiego faktu? Przecież nie wmówi mi pan, że Łazarzowi nie udało się przez dwa tysiące lat nikogo wskrzesić!

Łazarz: Nie chcę panu wmówić, tylko przekonać.

Zabrzieski: E tam.

Łazarz: Niech mi pan pozwoli mówić, aż pan skończy papierosa. Potem mi pan albo odbierze głos, albo zostawi.

Zabrzieski: Co tu z panem robić? Dobra.

Łazarz: Więc po pierwsze, to nie było dwa tysiące lat, tylko dziewiętnaście sprzyjających miesięcy na tym obszarze czasu. Przez pierwsze trzy wieki zresztą wcale nie próbowałem. Chciałem się przysłużyć Panu, szerzyć Jego naukę, świadczyć. Świadczyć zresztą Paweł mi zabronił. Wydałem mu się podejrzany, „onego czasu” nie było go w Betanii. Więc jeśli mówiłem o sobie, to jako o kimś innym. Po zburzeniu Jerozolimy zawędrowałem do Aleksandrii – okropne, diabelskie miasto, jeszcze gorsze niż Rzym. W Rzymie byłem do edyktu Konstantyna. Kiedy chrześcijaństwo stało się religią państwową, zrozumiałem, że to już nie dla mnie, ruszyłem między pogan, na północ. Spodziewałem się, że wykorzystam cud wskrzeszenia dla dobra misji. Błąd! Dla tych Wikingów powracający zmarły mógł być tylko upiorem. To samo zresztą przydarzyło mi się w Chinach – oni w ogóle nie pojmowali, o czym mówię.

Zabrzieski: W Chinach? Jak się pan, to znaczy, ten pański Łazarz, znalazł w Chinach?

Łazarz: Awanturnicza historia. U schyłku XV wieku byłem astrologiem Gonzagów. Ku radości Sforzów, którzy wiecznie ostrzyli sobie zęby na Mantuę, młody Gonzaga został śmiertelnie ranny w zasadzce, zastawionej dla odmiany przez d'Estów. Obiecałem staremu Gonzadze, że mu wskrzeszę syna. Idealna sytuacja, cud miałby wszystkie pozory ozdrowienia, młodzieniec byłby wolny od trupiej aury... Cóż, kiedy mediolańczycy mieli swoich szpiegów, Estowie zaś przejmowali tajną korespondencję Sforzów. W rezultacie, nim młody książę wyzionął ducha, Sforzowie mnie porwali, Estowie chcieli odbić dla siebie.

Zabrzieski: A to czemu?

Łazarz: Renesans, proszę pana, to była straszna epoka, bardziej zabobonna niż pobożne średniowiecze. Nekromancja, okultyzm, astrologia, magia, alchemia, co tylko. Uważali mnie za czarownika i chcieli złapać dla swoich celów. Cudem uciekłem, w Genui wsiadłem na portugalski statek, ale niełatwo uciec zbirom dwu potężnych rodów. Dopiero w Chinach byłem bezpieczny. Bezpieczny, ale też pilnowany. Uprzedzam pytanie: dlaczego byłem cenny. Przez szesnaście wieków zgłębiłem wiele nauk i rzemiosł, a niczego nie zapomniałem... Do Europy wróciłem akurat na rewolucję francuską, wprowadzie bardzo bogaty, ale dwa stulecia mi przeleciały.

Zabrzieski: Po rzezi terroru Łazarz miałby tysiące „petentów”...

Łazarz: Znowu błąd. W okresach rzezi, wojny, zarazy szerzy się szalona chęć zachowania życia – swojego, i pogarda dla śmierci – cudzej. Dlatego poniosłem klęskę w XIV wieku, w czasie „czarnej śmierci”. A poza tym XVIII wiek to był już wiek niedowiarstwa...

Zabrzieski: Mimo wszystko rachunek mi się nie zgadza. Między V a XIII wiekiem zdarzały się i epoki czy oazy pokoju...

Łazarz: Zdarzały się. I dlatego byłem dwa razy szczęśliwie żonaty, nie mogłem wyzwolić się kosztem żony i małych dzieci. Raz koniec wieku zastał mnie na pustkowiu, dwa razy zamykano mnie w klasztorze, dwa razy popełniłem błąd taktyczny, raz trafiłem na głupca, ech, powieść by można napisać...

Zabrzieski: Już pan napisał czy właśnie pisze?

Łazarz: Pan mi ciągle nie wierzy!

Zabrzieski: Oczywiście, że nie wierzę, jakżeż... Ale niech pan mówi, to zajmujące. Jako eksperyment myślowy, materiał do medytacji. Więc dotarliśmy do XIX wieku.

Łazarz: Fin de siècle zastał mnie we Wiedniu. Byłem już bardzo zrozpaczony, więc i nieostrożny, za dużo gadałem. Uznali, że *mente captus*, sam Freud się mną zajął. Z wariatkova wypuścił mnie dopiero w 1903, z diagnozą „hipertrofia popędu auto-destrukcji na bazie kazirodczej miłości do siostry”. Przed dalszą kuracją uciekłem do Galicji.

Zabrzieski: Aha!

Łazarz: Co „aha”? Aha, rozumiem. Najpierw mnie pan brał za aktora, potem za romansopisarza, a teraz za schizofrenika.

Zabrzieski: Nie, no nie aż tak, ale...

Łazarz: Błagam pana, niech mi pan uwierzy. Ja już naprawdę mam dosyć tego świata. Dwudziesty wiek był przerażający, ale dwudziesty pierwszy to coś zgoła niewyobraźnego. Klonowanie. Wrzask informatyczny. Wirtualne życie. W wymyśle-

nej rzeczywistości, z wymyślonymi ludźmi. Zamiast z bliskimi, człowiek będzie siedział w hełmie przed ekranem. Nawet płakać po kimś nie będzie miał. Sam się stanie, cholera, wirtualny. Nie chcę doczekać wieku fałszywych proroków. Chcę być przy Zbawicielu!

Zabrzski: Niech pan się uspokoi, może nie będzie tak źle! Ja pana rozumiem, ja się też boję, nawet nie tego, co przyjdzie, ale co jest. Jestem niepotrzebny, nie nadaję. Czy ja panu mówiłem, że jestem agrotechnikiem? Miałem osiągnięcia w hodowli nowych odmian, między innymi fasoli. (*śmieje się*) Fasola to widać obsesja rodzinna. A teraz z całą moją wiedzą mogę dać się wypchać i pomalować na zielono. Pokroją kody, poklonują i będą mieli, co się zamarzy. Mrozo odporne banany i kartofle jak dynie. Ale to w końcu nie jest powód do rozpaczy. Wirtualnego świata już nie dożyję...

Łazarz: Pan nie, ale ja tak. Jeśli mi pan odmówi pomocy.

Zabrzski: Nie mogę panu pomagać cudzym kosztem.

Łazarz: Ja jestem bogaty, przekażę panu numery moich kont w Szwajcarii.

Zabrzski: Apage, satanus! Tylko bez przekupstwa. Za kogo pan mnie ma?

Łazarz: Za kogoś, kto dba o bliskich. Chłopczyk będzie miał beztroskie życie.

Zabrzski: Chłopczyk? Więc pan sobie upatrzył Krzysia?

Łazarz: Dla innych już pan nie widzi sensu powrotu. Ale Krzyś miał niespełna dwa latka, malutką wyspę, by trzymać się pańskiego porównania. To co dla nas jest niszcząca inwazją nowości, dla niego byłoby fascynującym poszerzaniem „wyspy”. Niech pan wspomni własną młodość – jak pana podniecały odkrycia, możliwości. Życie męczy, ale mimo to jest DAREM. Każdy ksiądz panu to powie.

Zabrzski: E tam, ksiądz...

Łazarz: Ależ pańska matka też by tak powiedziała. Gdyby myślała inaczej, to by i was zabrała.

Zabrzski: Były chwile, kiedy się o to modliłem.

Łazarz: Ale przechodziły, prawda? A niech pan sobie wyobrazi: ma pan od teraz przy sobie wdzięczne, kochane dziecko – sam pan tak o nim mówił. Dom ożywa, do Krzysia ciągną wnuki pana i siostry, wyspy łączą się w archipelag. Archipelag odporny na wirtualne szaleństwa, bo wszyscy mają ogromnie wiele serca dla tego tajemniczego niby-sieroty.

Zabrzski: Brednie, niech pan przestanie!

Łazarz: Jeśli brednie, to co panu szkodzi powiedzieć: proszę, Łazarzu, pomódl się o jego powrót?

Zabrzeski: Proszę, niech się pan modli. I tak z tego nic nie będzie.

Łazarz: Domine, exaudi orationem meam (*dalej cicho i niewyraźnie aż do:*) Amen.

(*Cisza, napięcie*)

Zabrzeski: Mówiłem... Chodźmy już, koniec fantazjowania. Zaraz – a to co?

Łazarz (*cicho*): Pióro. Leci z góry. To znak. Odmówił powrotu.

Zabrzeski (*krzyczy*): Nie, tego już za dużo! Kiczowate sztuczki! Ty, ty – kuglarzu, oszuście! Po coś to robił, ten cały cyrk? To okrutne. Ja wciąż mówiłem, że nie wierzę, a widać jednak wierzyłem. Zateśniłem, żeby stanął przy mnie chłopczyk w niebieskim ubranku z kołnierzykiem Słowackiego. Chwycił mój wskazujący palec ufną łapką, powiedział „Isiu cie da-da”... I poszlibyśmy, jak dawniej...

Łazarz: Jezu, zmiłuj się nade mną!

Zabrzeski: A już, akurat!

(*szybkie kroki odchodzącego*)

Łazarz (*zdyszany, za Zabrzeskim*): Niech pan poczeka... Ja nie chciałem z pana zadrwić, niech mnie ręka boska... Ja się też tego bałem, dwa razy już... to, co nazywałem „błędem taktycznym”. Umarli też mają wolną wolę... Ale teraz myślałem, że na koniec tysiąclecia czas się wypełnił...

Zabrzeski: Odczep się wreszcie, pajacu, wariacie, hyclu! – Hyclu? O, tu ma pan tego kundla! Jego sobie wskrzeszaj!

Łazarz: Psa?!

Zabrzeski (*zgrzyliwie, spokojnie*): O ile dobrze zapamiętałem, nie było powiedziane, że to musi być koniecznie człowiek.

Łazarz (*zaskoczony*): Wielki Boże, nie było! zaraz... Biedna psina, już sztywna.

Zabrzeski: A klękaj sobie, mamroc...

(*krótka cisza*)

Łazarz: Amen.

(*Radosne skomlenie psa*)

Zabrzeski: Nie! Teraz powiem, że JA zwariowałem...

Łazarz (*spokojnie, z wysiłkiem*): Nie zwariował pan. Teraz ja mogę powiedzieć „a mówiłem”. Dziękuję panu. Jednak mi pan pomógł. Zabierze go pan, prawda?

Zabrzewski: Oczywiście, przecież garnie się jak szalony. Ale że do mnie, nie do pana?

Łazarz: Instynkt zwierzęcy. Wie, że życie jest przy panu. Żegnam, idę do wozu. Mimo wszystko nie chciałbym rozsypać się w proch na środku ulicy.

Zabrzewski: Dziękuję. Nie wiem, co mówić. Przepraszam za te wyzwiska. Do widzenia.

Łazarz: Gorsze słyszałem. Do zobaczenia. Choć myślę, że nie tak prędko.

(kroki, trzask drzwiczek samochodu)

Zabrzewski: No, wskakuj, kundlu. Śmieszny ty jesteś... Trzeba cię jakoś nazwać. Ła... Łazik. Łazik, siad! Nie szalej, spokojnie. Za dwie godziny będziesz w domu. Tak, piesku, będziesz miał dom. Właściwie to nie najgorzej się obróciło – żaden z nas nie będzie po drugim długo płakać... Zaraz, „siad” mówiłem. Zasłaniaś mi lusterko. Chcę zobaczyć, co z tamtym. Nie włącza silnika. Świateł też.

(krótka cisza)

Zabrzewski: Pan się nad nim zlitował.

Muzyka – mogą być wariacje na temat arii Sarastra
z „Czarodziejskiego fletu”
(„Pójdziemy dłonią w dłoń jak brat
Ufni, radośni w lepszy świat”)

